CZWARTEK

ŚWIAT MŁODYCH

HARCERSKA GAZETA NASTOLATKÓW

Nr 35 23 III 1989 r. Cena 45 zł

Stół już zastawiony. A o tym kto i jak wałkował ciasto, a potem piekł i smażył przeróżne łakocie — dowiecie się z fotoreportażu Jacka Łopuszyńskiego na stronie 4.

CO DALEJ ? KLASO

DZIŚ DYŻUR PSYCHOLOGA!

Telefon 21-47-06 (Warszawa) jest do Twojej dyspozycji! Jeśli masz jakieś wątpliwości związane z wyborem szkoły ponadpodstawowej i przyszłego zawodu, zadzwoń do nas i porozmawiaj o tym z psychologiem z poradni wychowawczo-zawodowej.

Czekamy na telefony w każdy wtorek i czwartek do końca marca w godz. 15.30–17.30.

Nie zwlekaj! Jeszcze tylko trzy dyżury! **(jz)**

„HARTOWANIE" CZEKOLADY

(PAP). Dla wyspecjalizowanych w produkcji doskonałej czekolady Szwajcarów istniała dotąd jedyna bariera, której nie byli w stanie pokonać — stosunkowo niska temperatura topnienia czekolady, wynosząca od 25 do 35°C. Łatwość topnienia czekolady powoduje nie tylko kłopoty z jej transportem (z wyjątkiem transporterów-chłodni), ale zmniejsza także poważnie jej eksport do krajów tropikalnych. Według „Neue Züricher Zeitung" kłopot ten będzie wkrótce należał do przeszłości. Stanie się to możliwe za sprawą opracowanej przez Instytut Battelle w Genewie metody „hartowania" czekolady za pomocą wody, które może podwyższyć punkt topnienia czekolady.

Prosi Kanecooder, prosi...

Mimo że popularne jeszcze nie tak dawno hasła nawołujące do oszczędzania straciły u nas na swej atrakcyjności — reszta świata tym się specjalnie nie przejęła. W dalszym ciągu wymyśla się tam różne zabaweczki mające na celu przypominanie starego i nadal aktualnego w zamorskich krajach hasła: oszczędnością i pracą — ludzie się bogacą.

Japończycy, oczywiście, natychmiast włączyli do tej zabawy swoje ukochane roboty. Na zdjęciu widzicie dwa z nich przy stercie monet stanowiących ich pożywienie. Kanecooder — bo tak brzmi imię każdego z nich — ma obyczaje... żebraka. Całymi dniami stoi bez ruchu gdzie go postawić i czeka tylko, żeby mu coś spadło na wyciągniętą łapę. Dopiero wówczas się ożywia, otwiera ogromną paszczę, wrzuca do niej jednym ruchem dłoni otrzymaną monetę przewracając z rozkoszą kolorowymi ślepiami. Następnie oblizuje się z zadowoleniem czerwonym językiem i udając, że niczego nie dostał, wyciąga łapę po następny datek.

Roboty-skarbonki są obecnie w sprzedaży tylko w Japonii, ale już wkrótce opanują zapewne cały świat, a już na pewno te kraje, w których pieniądz stanowi wartość równie pożądaną jak towar, który można za niego otrzymać... **(jd)**

Pszczoły niszczą szerszenia... gorącem!

JAPONIA (PAP). Pod koniec lata ule pszczół japońskich bardzo często nawiedzają szerszenie. Kilkanaście okazów tych groźnych owadów jest w stanie pozbawić życia wszystkich mieszkańców pasieki. Po zakończeniu krótkotrwałej, nierównej walki szerszenie wydobywają miód z uli, aby nakarmić nim własne larwy. Pszczoły nie mają żadnych szans na zwycięstwo; są rozrywane przez napastników, giną od ukłuć ich żądeł.

Japońskim naukowcom z Uniwersytetu Tamagawa w Tokio udało się zaobserwować dość niezwykły sposób obrony obierany przez pszczoły, gdy zostaną zaatakowane przez jednego, bądź dwa szerszenie. Otóż owady te tworzą mały rój, złożony z około 300 okazów. W jego środku zamykają napastnika. Po 30 minutach utrzymywania w niewoli szerszenia, pszczoły odlatują, a na placu boju pozostaje martwy przeciwnik i zaledwie kilku uśmierconych przez niego obrońców.

Dokładne obserwacje pozwoliły wyjaśnić sposób prowadzenia walki przez pszczoły. Nie atakują one bezpośrednio szerszenia, tylko zaczynają szybko machać skrzydełkami. Unikają przy tym zgubnego kontaktu z wrogiem. W ciągu kilku minut temperatura wewnątrz roju wzrasta do 46 st.C. Szerszenie tracą wówczas swe siły i niebawem giną. Pszczoły, obierając ten niezwykły sposób walki, nieraz same narażają się na śmierć, gdyż i one nie mogą wytrzymać zbyt wysokiej temperatury.

Laser leczy rany

W. BRYTANIA (PAP). Od przeszło dwóch lat w londyńskim szpitalu (Guy Hospital) prowadzone są prace nad sprawdzeniem przydatności promienia lasera w leczeniu ran po oparzeniach.

Początkowo do doświadczeń wykorzystywano myszy, ostatnio zaś eksperymentom poddano tkankę człowieka. Okazuje się, że światło lasera o małej mocy wyzwala w ludzkich komórkach związki chemiczne, które przyspieszają proces gojenia się ran.

Firma Zielony Zajączek poleca jadalną (!)...zastawę stołową: talerzyki, talerze, podstawki, koszyczki z ciasta.

Pomysł prosto z Uzbekistanu

10 dag drożdży wymieszać ze szklanką ciepłego mleka, dodać łyżeczkę soli (jeśli ktoś lubi może dodać pieprz lub kminek). Stopniowo wsypywać 1/2 kg mąki. Dokładnie wyrobić i zostawić na trochę, aby ciasto wyrosło.

Rozwałkować na grubość ok. pół centymetra i następnie wykroić okrągłe placuszki. Położyć na blachę, ponakłuwać w wielu miejscach (aby ciasto zbytnio nie wyrosło!), otoczyć wałeczkiem ciasta ponacinanym nożem lub warkoczem uplecionym z dwóch cieńszych wałeczków (rysunek!). Włożyć do nagrzanego piekarnika i piec aż do zarumienienia (15–20 minut).

Dzieło skończone! Można mu jeszcze dodać blasku i błysku pędzelkiem umoczonym w białku.

Wg tej samej receptury można przygotować bardziej skomplikowane wypieki np. talerzyki wyplecione z warkoczy, koszyczki, podstawki do jajek lub szklanek, a także różnorodne nieduże figurki: ptaki-kuraki, baranki i oczywiście zajączki.

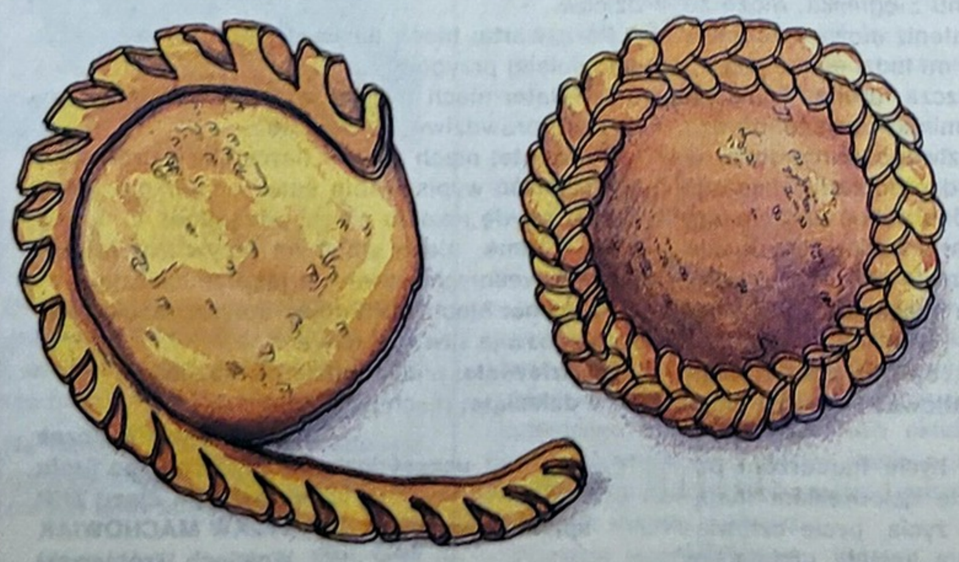

Podobno można zabarwiać ciasto szpinakiem (mrożonym) na zielono i zrobić Zielonego Zajączka. Komu się to uda? Rys. **M. Jasny**

Fot. **„Przysmaki kuchni uzbeckiej"**

OD RAZU NAS ZAAKCEPTOWANO

Kiedy wstąpiłam do „Gaduł" — żeńskiej drużyny harcerskiej na Morenie — większość otaczających mnie twarzy widziałam pierwszy raz. Nie znałam prawie nikogo, toteż ogarnęły mnie wątpliwości: czy podołam, czy wytrzymam?

Szybko przekonałam się, że „Gaduły" to prawdziwe harcerki. Przyjęły nas z otwartymi ramionami. Nie drwiły z naszych błędów, nie popychały, nie wyśmiewały — wręcz przeciwnie: pomagały nam, odnosiły się do nas serdecznie, jakbyśmy od lat były razem. Od razu zaakceptowano nas jako członkinie drużyny. Przy organizowaniu różnych imprez nie pozostawiono naszej gromady „żółtodziobów" na marginesie — liczył się także nasz głos. Z przyjemnością przyjmowano nasz udział w wycieczkach całego szczepu, nie pominięto w zapisach na zimowisko.

Niewiele jest dziś takich drużyn, gdzie nowo przyjęte dziewczęta traktuje się na równi z innymi.

A przecież nic tak nie zachęca do harcerstwa jak świadomość, że jest się mile widzianym w drużynie.

Dodatnie cechy „Gaduł" można by zapisać w sześciotomowej księdze, w której zmieściłaby się i panująca tu życzliwość, i miła atmosfera, od której tak wiele zależy.

„Gaduły" to jakby jedna rodzina. Można tu porozmawiać, poradzić się, zwierzyć. Całą tę rodzinę stworzyła wspaniała druhna Zuza. Jest ona wzorem harcerki — umie każdemu doradzić, pocieszyć.

Jest dla mnie nie tylko druhną — chce, byśmy traktowały ją jak przyjaciółkę. Nie tylko my, najmłodsze, ją naśladujemy, także zastępowe starają się postępować tak jak ona.

Magda, która prowadzi zastęp czwarty, darzy nas dużym zaufaniem. Gdyby nie ona, nie dowiedziałabym się też tylu rzeczy o krzyżu harcerskim, o Czarnej Trzynastce, nie nauczyłabym się tylu piosenek.

Wszystko to, co napisałam, można by skwitować jednym zdaniem: „Gaduły" to wspaniała drużyna!

Kasia Brejwo, lat 11
Żeńska GDH „Gaduły"
Gdańsk-Morena

I WSZYSTKO POLECIAŁO JAK Z PŁATKA

„Druhny i druhowie, przyszedł czas na ogłoszenie oficjalnych wyników. Na szczeblu drużyn młodszoharcerskich Drużyną Sztandarową Chorągwi została 28 Grunwaldzka Drużyna Harcerska z Gietrzwałdu. Na szczeblu starszoharcerskim tytuł Drużyny Sztandarowej Chorągwi uzyskała 28 Drużyna Starszoharcerska im. Dywizjonu 303 z Olsztynka" — brzmiał werdykt jury.

Niby zwykłe słowa, ale... gdy to usłyszeliśmy, wybuchła bomba radości! Ta radość była wręcz szaleńcza: przecież to my jesteśmy najlepsi! Trudno uwierzyć...

Na podsumowanie Ruchu Sztandarowego Hufców jechaliśmy niezbyt pewni siebie. Liczyliśmy wprawdzie, że uda nam się zająć dobre miejsce, ale o tytule Sztandarowej nawet nam się nie śniło.

To, że mogliśmy się w ogóle znaleźć na takiej imprezie i rywalizować z najlepszymi drużynami, zawdzięczamy własnej pracy. Stawaliśmy na głowach chcąc zdobyć Odznakę Chorągwianą. Z zapałem tworzyliśmy „Galerię ludzi nieprzeciętnych". Tych godnych uwagi znaleźliśmy kilku: byli to przeważnie artyści, nauczyciele, działacze, kombatanci. Braliśmy udział w alercie. Pomagaliśmy w przeprowadzeniu niektórych imprez na terenie hufca. Organizowaliśmy wspólnie z HKT „Kłobuk" rajdy dla harcerskiej braci.

O naszej działalności mogłabym napisać jeszcze wiele, najważniejsze jednak jest to, że wciąż mamy zapał i chęci. Nasza dotychczasowa praca została doceniona: na mundurach widnieje upragniona plakietka, a w sercach gości satysfakcja.

Gdy znaleźliśmy się w hufcu, uczucia mieliśmy mieszane. Bardzo chcieliśmy zmierzyć się z innymi drużynami, a jednocześnie baliśmy się trochę tego współzawodnictwa. Najpotworniejszą tremę miała Andzia.

I wszystko poleciało jak z płatka. Umundurowanie w porządku. Proporce wypadły nie najgorzej. Warto było zarwać noc, męcząc się nad ich wyszywaniem. Sprawdzian rozśpiewania drużyny też zdaliśmy zupełnie pomyślnie. Nasze ulubione harcerskie przeboje przypadły wszystkim do gustu. Bo jak mogła się nie spodobać wpadająca w ucho harcerska piosenka „Bieszczadzkie lato w kaloszach", zwłaszcza gdy Wasyl i Słoniu wtórowali nam na gitarach?!... Jury oceniło także musztrę. Tu, trzeba przyznać, trochę wpadliśmy, co było od razu widać po skwaszonej minie Diabła. Ale za to otrzymaliśmy bardzo dużo punktów za akcje letnią i zimową drużyn. Doceniono nasz samodzielny obóz wędrowny po Tatrach. Później jeszcze każda drużyna opowiedziała o swojej działalności na rzecz środowiska i o obrzędowości. My też opisaliśmy innym panujące wśród nas zwyczaje.

Komisja sędziowska wszystkiego wysłuchała, przejrzała książkę pracy drużyny i zastępów, obejrzała wspaniałe kroniki — w naszym przypadku dzieła niezrównanego Batona. I, po burzliwych obradach, wydała werdykt. Ten, który nas tak ucieszył.

Nie tylko jednak wielkie sukcesy są dla nas ważne. Cieszy mnie to, że jest nam dobrze i każda szara zbiórka jest fajna.

Ewa Podhajna
korespondentka HSI „ŚM"

MOICH 10 ZDAŃ

Drukujemy kolejne Wasze wypowiedzi. Nie ze wszystkimi poglądami w nich zawartymi „Świat Młodych" w pełni się zgadza, ale drukujemy je i będziemy drukować, ponieważ jest to czas przedzjazdowej dyskusji, w której każdy ma prawo się wypowiedzieć. Te różnorodne poglądy i stanowiska będzie musiał wziąć pod uwagę Zjazd ZHP, uchwalając m.in. nowe wersje Statutu, Prawa i Przyrzeczenia Harcerskiego.

W poszukiwaniu autorytetów

Stoję przed Wami jako harcerka i jeszcze — na szczęście — mam odwagę przyznać się do tego, choć właściwie dzisiejszego harcerstwa należałoby się wstydzić.

W harcerstwie już od dawna liczy się ilość, jakość jest zupełnie nieważna. Dlatego coraz więcej wśród nas ludzi, którzy po prostu ubrani są w mundury, lecz brak im harcerskiej spontaniczności, radości, zaradności, po prostu skautowego ducha. Najbardziej przeraża mnie, że właśnie ci ludzie, niejednokrotnie widzący jedynie własne interesy i myślący o własnej karierze, wypierają z ZHP harcerzy prawdziwych, zafascynowanych skautową ideą, pragnących widzieć harcerstwo jako miejsce kształtowania prawdziwego, prawego człowieka. A ci, którzy zostają, to w przeważającej większości „instruktorzy" nie mający pojęcia o pracy harcerskiej, którym idea niesienia dobra nie jest bliska.

Nie należy się więc dziwić, że nie ma u nas prawie wcale harcerstwa starszego — starszym nie imponuje byle kto, starsi szukają autentycznych autorytetów i zdolnych wodzów, a takim być niełatwo. Młodsi jeszcze jakoś istnieją, bo mają trochę mniejsze wymagania, łatwiej ich zająć na zbiórkach, zainteresować, choć i oni mają już dosyć masowych „harcerskich" pokazówek, zlotów, którym daleko do idei puszczańskiego twardego życia.

Sądzę, że jeżeli w harcerstwie nie zbiorą się razem ci, którzy naprawdę je czują i nie zabiorą się do WSPÓLNEJ pracy, to wkrótce ZHP przejdzie do historii.

Mimo tych wszystkich zarzutów, stawianych organizacji, ja wciąż jestem harcerką, instruktorką, bo ciągle wierzę, że chociaż w moim harcerskim środowisku uda mi się zaszczepić wiarę w lepszy świat, wychować choć kilku ludzi, którzy naprawdę zadeklarują swoją szczerą wolę pełnienia służby i nie zrezygnują z trudnej drogi w dalszym życiu.

Anna Klajn
korespondentka HSI, Warszawa

A już zaczynałam wątpić

Byłam ostatnio na zimowisku szkoleniowym w Kołaczycach, w którym uczestniczyły dwie drużyny: z Białegostoku i z Gołdapi.

Pewnego dnia, kiedy mieliśmy trochę wolnego czasu, poszłam sama w góry, gdyż było mi bardzo źle (są czasami takie chwile) — ale pomogło mi to tylko na pewien czas. Wieczorem tego samego dnia, jako że był to ostatni dzień karnawału, na parterze (zamieszkałym przez Gołdap) odbywała się dyskoteka, na pierwszym piętrze zaś (zamieszkałym przez Białystok) odbywał się kominek, w którym uczestniczyli prawdziwi harcerze — ludzie, którym zależy na tym, aby harcerstwo było ruchem takim, jak za najlepszych lat, aby dawne tradycje Związku były podtrzymywane. Zajrzałam na dyskotekę, ale ponieważ nie czułam się tam zbytnio dobrze, poszłam na kominek i... dopiero wtedy zrozumiałam, że właśnie tego mi brakowało do poprawy samopoczucia: przyjaznej atmosfery, wspólnie śpiewanych piosenek i opowieści snutych przy świeczkach.

Po nocnym biegu patrolowym, po marszu według mapy, przy ognisku zostały nadane patenty przybocznych drużyn starszoharcerskich. Miałam łzy w oczach: może od dymu z ogniska, może ze szczęścia, że zdobyłam patent, może z radości, że stoję wśród przyjaznych mi ludzi — nie wiem.

Zimowisko to, a zwłaszcza druha Tomasza Czarneckiego, będę wspominać zawsze bardzo mile: nauczył mnie prawdziwego harcerstwa, w którym każdy czuje się bardzo dobrze i chce coś pożytecznego robić; przekonał, choć zaczynałam już w to wątpić, że takie harcerstwo i tacy ludzie nadal istnieją. Jestem mu za to wdzięczna i wierzę, że po Zjeździe ZHP do naszego Związku będzie się należało nie tylko po to, aby wyjeżdżać na obozy, ale także po to, by być pożytecznym dla społeczeństwa, by kształtować swój charakter i swą osobowość.

Wierzę, że już niedługo bycie harcerzem będzie oznaczało jedno: bycie człowiekiem mającym jasność celu i sensu życia, bycie człowiekiem umiejącym współżyć z ludźmi, umiejącym wykorzystać swą wiedzę w praktyce i przekazywać ją innym.

Życzę nam, harcerzom, aby wszędzie tam, gdzie pojawi się zielony czy szary mundur, pojawiały się wraz z nim uśmiech, radość i życzliwe słowa.

Agnieszka z Białegostoku

...niech przetrwa!

Człowiek tyle myśli o harcerstwie, dostrzega tyle problemów, chciałby dyskutować o tak wielu sprawach. Gdy tymczasem przychodzi do wypowiedzenia dziesięciu zdań — życzeń — nagle brakuje konceptu.

Ale cóż — spróbujmy! Harcerstwo...

Po pierwsze: niech zawsze prowadzi harcerzy drogą ku mądrości, uczciwości i chęci niesienia pomocy.

Po drugie: niech stwarza możliwość działania — zrobienia czegoś pożytecznego dla innych i uzyskania satysfakcji dla siebie.

Po trzecie: niech pozwala harcerzom sprawdzić samych siebie w najrozmaitszych sytuacjach: na warcie nocnej, podczas służby w kuchni, w oderwaniu od ciepłego domu, od opieki rodziców.

Po czwarte: niech da każdemu szansę przeżycia wielkiej przygody.

Po piąte: niech nie zginą obozy, biwaki, rajdy — takie prawdziwe, harcerskie.

Po szóste: niech zniknie harcerska biurokracja; konieczność wypisywania setek papierków, które tak naprawdę nikomu nie są potrzebne.

Po siódme: niech smutnym przywraca radość życia, a wesołych rozwesela jeszcze bardziej.

Po ósme: niech, kultywując dotychczasowe tradycje, rozwija i tworzy nowe.

Po dziewiąte: niech będzie dla każdego.

Po dziesiąte: niech przetrwa!

Życzenia Anety Matczak
uczestniczki obrad Okrągłego Stołu
delegatki na Zjazd ZHP
spisał i opracował: JAROSŁAW MACHOWIAK
Fot. **Wojciech Wróblewski**

Podaj im rękę

Piszę w sprawie listu (nr 153 „ŚM" z ub. roku). „Kukurydzo"! Nie załamuj się! Ja również chodzę do VI klasy, a sytuacja w mojej klasie nie była lepsza. Też mamy nowego wychowawcę. Doszło do nas kilku drugorocznych i stało się to samo co w Twojej klasie. Klasa przestała być już tą samą VIa. Jednak my, dziewczyny, postanowiłyśmy im pomóc. Zaczęłyśmy traktować ich jak normalnych chłopców. Rozmawiałyśmy z nimi, pomagałyśmy w lekcjach. I udało się! Przestali przeklinać; niektórzy podciągnęli się w nauce. Teraz są bardzo fajni. Zawsze można z nimi pożartować. W klasie jest już trochę lepiej, niż było na początku tego roku szkolnego. Warto więc spróbować. Może się uda?

Paprotka

Dobra rada!?

Piszemy w sprawie listu Agnieszki, Marzenki i Beatki (nr 154 „ŚM" z ub. roku) pt. „Lalka czy to dobry lek na tęsknotę?". Przeczytałyśmy ten list i uśmiałyśmy się serdecznie z tego, że kawałek szmaty może zastąpić najlepszą przyjaciółkę.

Obie sądzimy, że szmacianą lalką nie zabijecie tęsknoty za ulubioną Agatą.

Dajemy Wam według nas wspaniałą radę: rozejrzyjcie się wśród szkolnych koleżanek i wybierzcie tę, która jest (oczywiście nie wiemy, czy jest w klasie taka) odpychana przez klasę. Może chociaż w części zastąpi Waszą Agatę. Spróbować można! Jeżeli się z nią zaprzyjaźnicie będzie to korzyść obustronna:

- osamotniona dziewczynka przestanie czuć się samotnie w klasie;
- a Wy unikniecie zbędnych kłótni między sobą.

Dwie Ewy

Dlaczego „Marysia?"

Do ciebie, różowy pasku, piszę po raz pierwszy. Chodzę do I klasy szkoły budowlanej. W tej szkole uczą się sami chłopcy. A sęk w tym, że przezywają mnie „Marysia". Dlaczego Marysia? Dlatego, że jestem podobny do dziewczyny. Wyglądam jak dziewczyna i ruchy mam dziewczęce.

Czuję się źle, bo klasa mnie nie akceptuje, a wszystko przez to, że nie palę, nie używam wulgarnych słów, no i jestem dobrze wychowany. Często się śmieją z mojego ubioru, ponieważ lubię jasny kolor.

Może znajdę pomocną dłoń?

„Maniak"

Dać szansę...

Mam prawie 13 lat i głupi charakter; właśnie z tego powodu straciłam trzy najlepsze przyjaciółki. Zaczęło się od tego, że miałam poprawić swój charakter. Starałam się, ale mi nie wyszło, zaczęły mówić, że się nie staram. Odpowiedziałam, że jeśli tak myślą, to nie mamy o czym mówić. Chodziło mi o to, że uważają, iż się nie staram, że nie chcę się poprawić.

Niestety, one zrozumiały to inaczej, myślały, że zerwałam z nimi. Nie pozwoliły mi nic wytłumaczyć. Po tygodniu poprosiłam je, aby mi dały ostatnią szansę, ale na próżno. Droga redakcjo i czytelnicy, proszę o pomoc. Bardzo zależy mi na tej przyjaźni.

Aneta R.

„Pijany gówniarz bije cię w pierś..."

Na płytę hali równo, noga w nogę, wchodzi rzędem pięciu chłopców z żółtymi przepaskami na głowach. Zdecydowanym krokiem kierują się na środek boiska. Tam, na komendę, odwracają się tyłem do widowni i wypinają się. Na ich tyłkach widnieje piękny, żółty napis „DUPA!" Następnie robią zwrot i to samo pokazują w stronę sceny, z której już od godziny konferansjer regularnie informuje nas, że za pięć minut zacznie się koncert.

Po długim oczekiwaniu „Moskwa" rozpoczyna wreszcie występ. Nic to, że impreza rozpoczęła się z ponad godzinnym opóźnieniem, nic to, że nie wystąpi „Armia", która była magnesem przyciągającym widzów na ten koncert, nic to, że konferansjerem jest stary ramol, robiący z siebie wariata, starając się rozbawić publiczność, rzucającą w jego kierunku słuszne epitety. To wszystko nic. Do tego można się przyzwyczaić na polskich koncertach, jak również do fatalnego nagłośnienia i oświetlenia (nie wspominając o wentylacji).

Od niedawna jest jednak coś w naszym kraju (i nie tylko w naszym), co dość poważnie zakłóca normalny przebieg koncertów. To „coś" to skin!

Ruch ten (lub jeśli ktoś woli — subkultura) powstał z chęci wyładowania drzemiącej w każdym agresji. Skini jednak robią to w dość specyficzny sposób. Nie spożytkowują swojej energii na pracę, jak normalni ludzie, ale wyżywają się na żywych istotach i na przedmiotach. Ich idolem jest Adolf Hitler, a mówi się o nich: rasiści, neofaszyści, sadyści itp.

Obecnie żadna impreza muzyczna nie odbywa się bez tych ludzi. Tak było również 28 stycznia w hali „Urania" w Olsztynie. Jeszcze przed koncertem widziałem, jak paru łysych „skroiło" punkom „skorupy" i „glany" w odległości około 100 metrów od gęsto obstawionej milicją hali. Jednak funkcjonariuszy to nie zainteresowało. Pozostali bierni. Trzeba ich zrozumieć. Teraz wszyscy boją się skinów, a zresztą mieli pilnować porządku tylko przed samą halą, a nie po drugiej stronie ulicy. Trudno natomiast wytłumaczyć brak reakcji porządkowych, odznaczających się biało-czerwonymi opaskami na rękawach (rewolucja czy powstanie?), na „zadymy" pod sceną, w których zostało dotkliwie pobitych wielu bawiących się ludzi. Ludzi, którzy mieli zbyt długie włosy, może ładną dziewczynę lub nieprzyjemny wyraz twarzy, kiedy któryś ze skinów prowokował punków głośnymi okrzykami „Punk is dead", „Punk fuck off". Ci biedniejsi, nie mający na operację plastyczną, na widok łysych skandowali chórem „Skin OK", „Power skin", co jeszcze bardziej utwierdzało skinów w ich potędze i sile.

Bicie przerwali tylko na kilka minut, gdy „Róże Europy" zagrały utwór „Adolf Hitler". Na dźwięk tego nazwiska stanęli na baczność z wyciągniętymi w faszystowskim pozdrowieniu rękami. Na szczęście ci inteligentni ludzie nie zrozumieli sensu piosenki, mówiącej raczej negatywnie o ich idolu (piszę „na szczęście", gdyż jeśliby zrozumieli, hala „Uranii" mogłaby przypominać później Dom Kultury na Łowickiej w Warszawie po „Mokotowskiej Jesieni Muzycznej"). Nie dosłyszeli chyba również słów piosenki „Pijany gówniarz", śpiewanej przez weteranów punk-rocka, zespół KSU.

Chwilami odnosiło się wrażenie, że to nie występujący zespół, a grupa skinów na widowni jest najważniejsza. Na nich zwrócona była uwaga części widzów i kilka reflektorów oświetlających błyszczące pały. Dla nich samych koncertujące kapele nie odgrywały większej roli, ważna była młodzież, która przybyła na koncert. Każda taka impreza jest dla nich okazją do bezkarnego pobicia wielu ludzi, a tym samym wyładowania nie spożytej w żadnej pracy energii.

A propos bezkarności, to zastanawiam się, czym różni się skin od zwykłego bandyty? Dopuszcza się on poważnych przestępstw i... nie podlega żadnym karom. Traktuje się jego czyny jako młodzieńcze wybryki, usprawiedliwia się go wiekiem i często upojeniem alkoholowym lub narkotycznym.

Uważam, że jeśli można go czymś usprawiedliwić, to tylko tym, że jest „psychiczny"!

Paweł

Autorami tekstów i ilustracji są uczestnicy warsztatów dziennikarskich HSI — Gdańsk 1989

„...tu już nie ma nic do stracenia?"

Wieczór. Gdańsk. Ulica Długa. Na ławce kilka osób: paru chłopaków i trzy dziewczyny. Wszyscy mają fantazyjne fryzury — pomalowane na różne kolory czuby. Ubrani są w czarne skóry i wysokie sznurowane buty — „glany". Większość pali papierosy.

Na plecach jednego z chłopaków wykonany farbą napis: „Atomowy elementarz zaprowadzi was na cmentarz". Na kołnierzu kurtki wymalowane „pacyfa" i „anarchia" — znaki wyrażające poglądy na świat. Słuchają nagrania „Brygady Kryzys":

„... tu już nie ma nic,
tu już nie ma nic,
tu już nie ma nic,
do stracenia."

To punki.

Podchodzi patrol milicyjny: „Proszę opuścić to miejsce!"

Punki odchodzą. Na chodniku przed ławką pozostaje angielski napis: „Skins are dead".

* * *

Jesienny wieczór. Żabianka — osiedle bloków, popularnie zwanych „bunkrami". Po cichej ulicy idzie samotny chłopak. Ekstrawagancka fryzura, na nogach imponujące „glany", na plecach luźna czarna „skóra".

Z autobusu wychodzi grupa skinów. Podchodzą do puna.

— Cześć koleś, a to co za znaczki? — jeden z nich wskazuje kołnierz kurtki puna.

— „Brygada Kryzys", „Dezerter" — mówi drugi — Chyba wystarczy jak na jeden raz, nie chłopaki?

— Dalej, obić mu mordę! Bić śmierdzącego puna! Zabić go! — padają okrzyki z grupy kopiącej leżącego już na ziemi chłopca.

Po chwili odchodzą. W kałuży krwi na ulicy oprócz chłopaka leży mały znaczek, „pacyfa" — symbol pacyfistów. Po kilku minutach pojawiają się przechodnie, którzy na własną rękę udzielają pomocy poszkodowanemu.

* * *

Inna dzielnica miasta — Morena. Grupa krótko ostrzyżonych chłopaków. Takie same kurtki i buty, ale jest drobna różnica: czerwone sznurówki. Ich twarze są zacięte, wyzywające.

„Więc chodź ze mną na ulice i krzycz to, co ja tutaj krzyczę" — T. Love.

Na przystanku autobusowym stoi Murzyn. Podchodzą do niego. Żądają pieniędzy. „Inaczej cię zabiję ty czarnuchu!" Pieniądze się znajdują.

Ci młodzi ludzie to skin headzi. Ich ideologia: „Kochają bić i bić coraz więcej..." („Kult").

Kiedy wracają do swojego wielkiego bloku mieszkalnego, kopią po drodze pojemniki na śmiecie, klną i tłuką butelki po piwie, przed chwilą opróżnione.

* * *

W kilka dni później na Morenie, gdzie mieszka duża część skinów, pojawia się grupa punów.

— Gdzie jesteście zapluci skin headzi?! Pomścić „Suchego"! Zabić wszystkich skinów i nazi punów! — padają okrzyki.

Kiedy w jednym z okien pojawia się sylwetka krótko ostrzyżonego chłopaka, sypią się wyzwiska i... kamienie. Brzęk tłuczonego szkła i krzyki wewnątrz mieszkania.

W kilka minut później na ulicy pojawiają się dwa duże milicyjne stary i „buda". Ze starów wyskakują zomowcy. Biorą bez litości klębiącą się masę młodych ludzi. Z tłumu padają okrzyki: „Litości! Ludzie pomocy!"

Pobitych już pałami punów milicja pakuje do „budy".

Stojący na balkonach ludzie rzucają przerażone spojrzenia w stronę kotłującego się jeszcze tłumu.

Po kilku godzinach większość punków zostaje zwolniona.

* * *

W Gdańsku istnieje dużo grup młodzieżowych. Ich przedstawiciele i oni sami mieszkają w różnych dzielnicach miasta. Na Żabiance — punki, na Suchaninie i Morenie — nazi puny i skiny. Nie rozumiem tego swoistego podziału na dzielnice. Nie rozumiem tej nienawiści. A jednak... nienawidzę zwykłego chuligaństwa i bandytyzmu!

Piotr

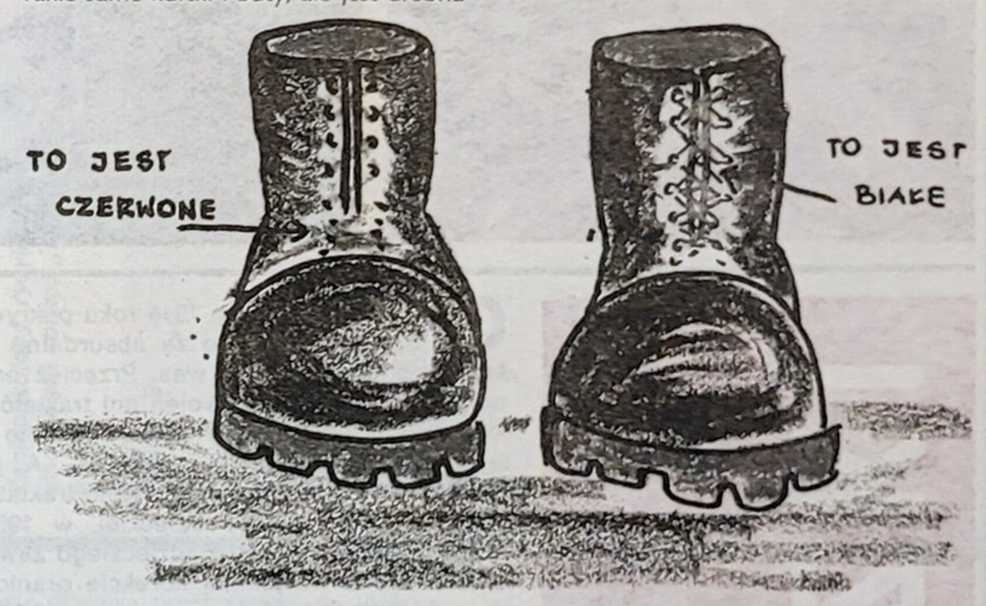

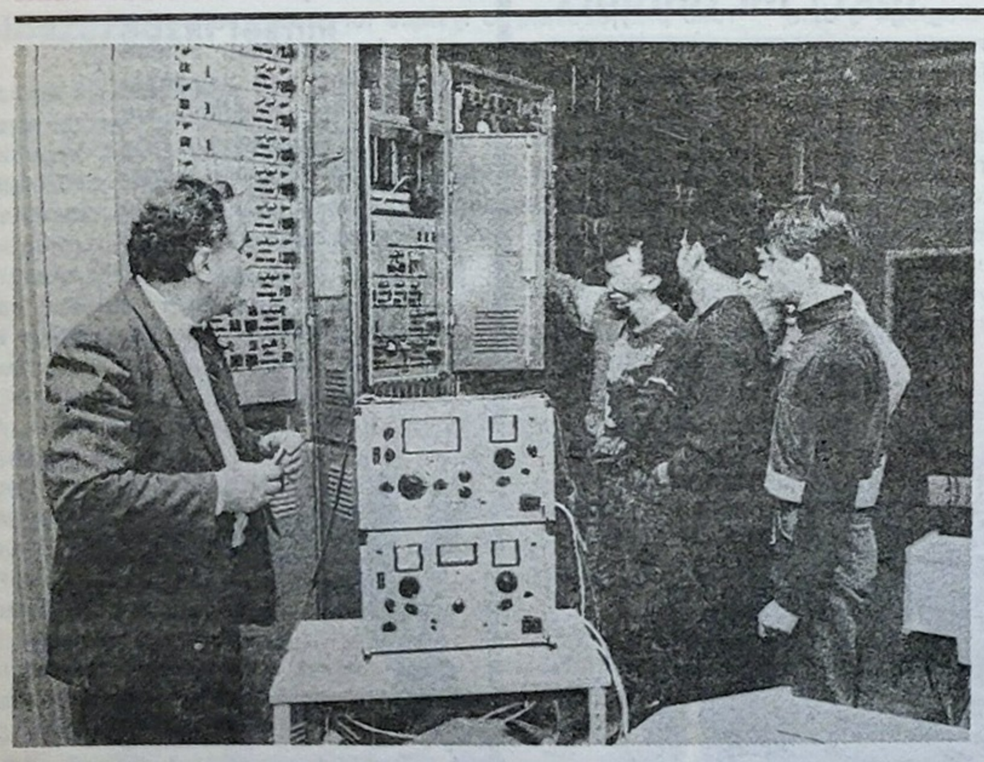

JEŚLI ELEKTRONIKIEM, TO TYLKO W...

Zespół Szkół Elektronicznych im. L. Waryńskiego w Olsztynie kształci od dziesięciu już lat specjalistów poszukiwanych we wszystkich niemal dziedzinach przemysłu. Przyszli elektronicy mają znakomite warunki do nauki — placówka posiada bowiem nie tylko dobrze wyposażone pracownie, ale i studium telewizji kablowej.

Do olsztyńskiej szkoły uczęszczają uczniowie z dziewięciu województw. Nic więc dziwnego, że dysponuje ona także internatem dla 490 osób.

Na naszym zdjęciu inż. Benedykt Rogala i uczniowie klasy V przy urządzeniach teletransmisyjnych.

Fot. **CAF**

Sprawiedliwsza? Wygodniejsza dla nauczycieli i uczniów?

ROZSZERZONA SKALA OCEN

(Inf. wł.) Opracowano ją w Ministerstwie Edukacji Narodowej i, na razie na próbę, wprowadzono od 1 września 1988 r. w kilku szkołach w Polsce. Jest sześciostopniowa, a więc dokładniejsza, bardziej precyzyjna od dotychczasowej czterostopniowej, wzbogacanej sztucznie o dostawiane do stopni plusy i minusy.

Proponowana skala składa się z następujących ocen: **niedostateczny, mierny, dostateczny, dobry, bardzo dobry, celujący.**

Oto kryteria określające stopnie przyjmowane z największymi wątpliwościami:

Celujący — żeby nań zasłużyć, uczeń musi posiadać wiedzę i umiejętności znacznie wykraczające poza obowiązkowy program nauczania przedmiotu. Twórczo rozwija własne uzdolnienia, biegle operuje wiadomościami, rozwiązuje problemy teoretyczne i praktyczne spoza programu danej klasy, wykazuje wyjątkowe zainteresowanie przedmiotem, bierze udział w olimpiadach przedmiotowych.

Niedostateczny — uczeń nie opanował niezbędnego minimum wiadomości określonych programem i nie jest w stanie nawet przy pomocy nauczyciela rozwiązać zadań o niewielkim stopniu trudności.

Wreszcie stopnień **mierny**, którego sama nazwa budzi najwięcej wątpliwości (negatywne zabarwienie?): uczeń opanował minimum wiadomości i umiejętności koniecznych do kontynuowania nauki. Rokuje nadzieje na uzupełnienie braków do poziomu oceny dostatecznej. Rozwiązuje, często przy pomocy nauczyciela, zadania o niewielkim stopniu trudności.

Wprawdzie opinie o sześciostopniowej skali ocen są w większości „na tak", pozostaje jeszcze jednak sporo niejasności. Czy na przykład promować ucznia z wszystkimi ocenami miernymi do następnej klasy? Czy takie same kryteria obowiązywać mają w szkołach ponadpodstawowych i podstawowych? Czy nie powinno się wprowadzić nieco innych w klasach I–III i IV–VIII?

Jakie rozwiązania zostaną przyjęte, jeszcze nie wiadomo. W Ministerstwie Edukacji Narodowej, jak poinformowała „Świat Młodych" **główny wizytator, pani Władysława Piwońska**, opracowywane są opinie dyrektorów szkół, w których ten eksperyment wprowadzono. Powstanie następny projekt regulaminu. Czy nowa skala ocen wprowadzona będzie do szkół szybko i czy na pewno — na razie nie wiadomo.

KRYSTYNA KLIMOWICZ

UŚMIECH NUMERU

PAN IKSIŃSKI czyta w pociągu jakąś książkę; co pewien czas kręci głową i wykrzykuje na głos:

— Coś podobnego — nie wiedziałem! Ha, ha, nigdy bym nie pomyślał! Niewiarygodne, to właśnie tak?!

— Przepraszam, co pan czyta? — zainteresował się sąsiad.

— Słownik ortograficzny..!

★

PAN MĄDRALA pyta syna:

— Mam nadzieję, że na jutro zadano wam sporo i to na pewno trudne tematy i zadania...

— Właśnie, że zupełnie nic, tato!

— To fatalnie, będę jednak musiał pozmywać naczynia...

KLASÓWKA Z NALEŚNIKÓW

Zajęcia praktyczno-techniczne dziewcząt w Szkole Podstawowej nr 330 w Warszawie fotografował Jacek Łopuszyński.

BIESZCZADZKI KLIMAT...

Czy nasze granice z 1945 roku pokrywają się z obecnymi? — Co za absurdalne pytanie, spyta może niejeden z was. Przecież od tamtej pory nie było żadnych wojen ani traktatów pokojowych, które zmieniłyby decyzje podjęte na konferencjach w Jałcie i Poczdamie. A jednak... Sześć lat od chwili, gdy podpisano traktat o przebiegu granicy polsko-radzieckiej, w 1951 roku, rządy Polski i Związku Radzieckiego zawarły porozumienie o wzajemnej korekcie granic. Część ziem z okolic Hrubieszowa przejął ZSRR. W zamian otrzymaliśmy tereny, których głównym miastem były Ustrzyki Dolne. Wraz z korektą granic nastąpiły przesiedlenia ludności. Bieszczadzcy Ukraińcy powędrowali na drugą stronę granicy, na teren Ukraińskiej Socjalistycznej Republiki Radzieckiej. Polacy z okolic Hrubieszowa przyjechali w surowe i nie zagospodarowane góry. Ale nie tylko oni.

Pionierski żywot

Pan Kazimierz Osiecki był jednym z pierwszych, który pojawił się we wsi Lutowiska po korekcie granic. Dziś Lutowiska są siedzibą największej gminy, bo obejmującej swym obszarem blisko 42 500 hektarów. Na początku lat pięćdziesiątych też były centrum, ale obszaru, na którym żywego człowieka ze świecą trzeba było szukać. — *Pochodzę z gór, z okolic Rabki, wyuczyłem się hutniczej profesji, a jestem bieszczadzkim leśnikiem. Takie są w największym skrócie moje poplątane losy życiowe* — śmieje się pan Kazimierz. *Mnie rzeczywiście najłatwiej było przystosować się na nowym miejscu. Z górami byłem zżyty, wśród nich się wychowałem. Przyjechałem tu, bo było to coś nowego, a po drugie można było wtedy nieźle zarobić. Ci zaś, których przesiedlono z okolic Hrubieszowa, byli ludźmi nizin. Dla nich wszystko było nowe. Od podstaw uczyli się górskiego ABC, a przecież wraz z wiekiem nauka trudniej wchodzi do głowy. To byli prawdziwi pionierzy Bieszczadów.*

Kolejną grupą zasiedlającą te tereny byli „uciekinierzy" z wielkich miast. Nie jacyś tam przestępcy czy typy spod ciemnej gwiazdy, ale ci, którzy „nie sprawdzili się" wśród betonu i asfaltu. Chcieli spróbować czegoś nowego, innego. Tę szansę dawały im Bieszczady. W latach sześćdziesiątych rozpoczynało tu swoje nowe życie tysiące świeżo upieczonych maturzystów. Sporo młodych ludzi rekrutujących się z warszawskiego Studenckiego Koła Przewodników Beskidzkich pakowało do plecaka dyplom magisterski, cały swój skromny dobytek i jechało w Bieszczady. Obie grupy znajdowały tu pracę, zadowolenie i... spartańskie warunki. Nie było dróg, prądu elektrycznego, gazu. Do odległego o dziesięć, a nieraz i więcej kilometrów sklepu spożywczego chodziło się raz na tydzień i robiło kilkunastokilogramowe zakupy. Wodę czerpano z okolicznego strumienia. O rozrywkach kulturalnych nikt wtedy nie słyszał. Ci, którym spodobały się te warunki, zostawali. Uciekał rzadko kto. Dopiero teraz, gdy lat przybyło, bieszczadzcy pionierzy pomyślą nieraz o ewentualnym powrocie do wielkiego miasta. Na starość przyda się kąt z centralnym ogrzewaniem, ciepłą wodą i gazem.

Kolorowy zawrót głowy raz jeszcze?

Jakie są Bieszczady dzisiaj? Pan Kazimierz twierdzi, że zanikł tamten romantyzm i urok. Co roku przyjeżdżają tu tysiące turystów i setki harcerzy. Po to mamy góry, by korzystali z nich wszyscy Polacy. Zamiast płakać nad zniszczeniem jakiego rzekomo dokonują, powinno się stworzyć warunki do należytego odpoczynku. Gdy w telewizji padła propozycja budowy stacji klimatycznej w Bieszczadach, przeciwko „kolorowemu zawrotowi głowy" byli prawie wszyscy.

Pan Kazimierz Osiecki z pięknym jeleniem porożem

Przeciwnicy rozwoju turystyki twierdzą, że „stonka turystyczna" skutecznie zadepcze nam góry. Są jednak groźniejsi przeciwnicy. Na przykład „kwaśne deszcze" — pyły siarkowe docierające nad Bieszczady aż z okolic Tarnobrzega. Ten śmiercionośny pył zabija drzewa, rośliny, runo leśne. Czy nie powinniśmy przede wszystkim jemu wydać walki?

Bieszczadzki leśnik

musi dokładnie znać podległy teren, schorowane drzewa naznaczać do wycięcia, dopilnować wywózki, pomagać leśnej zwierzynie zimą, sadzić 25 ha młodnika wiosną... Długo jeszcze by można wyliczać różne jego zajęcia, także te najmniej lubiane — biurokratyczne. Ale frajdą jest niewątpliwie codzienne obcowanie z przyrodą. Nie każdy ma przecież możliwość z odległości kilku metrów podziwiać jelenia, wilka, a nawet niedźwiedzia.

— Leśnik, proszę pana — tłumaczy pan Osiecki — najpierw uczy się z książek, później od kolegów, a na samym końcu uczy go zwierzyna. Taka jest prawda. Zachowania i zwyczajów zwierząt, szczególnie dzikich, nie sposób nauczyć się z podręczników. Jedno niepodobne jest do drugiego. Książka nie uczy jak zachować się, gdy staniemy oko w oko z niedźwiedziem czy żubrem. A mnie to już się przytrafiło. Czy było groźnie? Ależ gdzie tam. Zwierzęta same unikają z nami spotkań. Gdy tylko poczują wiatr w nozdrzach, od razu czmychają.

Pewnego razu idziemy z kolegami leśną przecinką i nagle słyszę jakiś szelest. Coś poruszyło się w krzakach. Sądziliśmy, że to potężny dzik. Podchodzimy, a właściwie skradamy się cichutko, a z drzewa jak tu nagle coś nie spadnie. Czarna potężna kuleczka okazała się młodym niedźwiadkiem ważącym około 150–250 kilogramów. Co sił w nogach zaczął uciekać. Strach pomyśleć, co by się stało, gdyby zeskoczył na któregoś z nas. Albo taka przygoda, która zdarzyła się podczas polowania na wilki: siedzimy z myśliwymi na ambo-

CIĄG DALSZY NA STR. 7

Fot. J. Łopuszyński

ŚPIEW CZY... LAMENT?

Przywykliśmy już do tego, że śpiew ptasi jest symbolem radości, chęci życia, prawdziwie wiosennego nastroju. Czymś takim jest dla nas. A dla ptaków? Nie przesadzimy wiele mówiąc, że dla nich też — choćby w pewnym stopniu — jest tym samym. Wszakże wiosenny śpiew samców ptaków wróblowatych, służący — jak wiadomo — zaznaczeniu swego prawa do zajętego rewiru oraz przywabieniu samicy — jest zapewne przejawem sił witalnych śpiewaka, chęci intensywnego życia. Czy przeżycia, jakich doznaje ptak podczas śpiewu, są wyłącznie przyjemne i radosne, to już inna sprawa. Raczej należałoby przypuszczać, że wcale nie zawsze są one takimi. Odrębną też kwestią jest, czy nasze, ludzi, doznania związane ze śpiewem ptaków są zawsze przyjemne. Niewątpliwie piękne gwizdy i fanfary drozda śpiewaka i kosa, albo kląskania któregoś ze słowików budzą w nas nastrój uroczysty i na swój sposób radosny. Czy jednak ten sam nastrój są w stanie wywołać zdławione krakania gawronów czy też oschłe popisy samców wron, przypominające raczej brzuchomówstwo niż śpiew — a przecież będące autentycznym śpiewem? Można wątpić.

Ale nam tu chodzi o wątpliwość innego rodzaju i do tego — poważniejszą. Czy oto śpiew samców ptaków wróblowatych lub głosy godowe przedstawicieli innych grup ptasich zawsze są wyrazem tylko godowego nastroju? Zdaniem wielu wytrawnych obserwatorów życia ornitofauny — nie zawsze. Ba, ptasia pieśń może być wręcz „piosenką śmierci", wyrazem najwyższego przerażenia.

Kiedy skowronki polne ujrzą swego najgroźniejszego wroga — sokolika kobuza, umykają, wzbijają się w powietrze. Towarzyszy temu — jak stwierdzono — intensywny śpiew. Ponieważ ucieczka w przestworza jest mało skuteczna, bo sokół jest w stanie przegonić wzbijającego się małego ptaszka i wznieść ponad niego — bywa, że skowronek ginie w szponach drapieżnika w pełni śpiewu. Czym jest w takim razie ten śpiew? Skutkiem przyzwyczajenia (wszakże wzbijając się skowronek zazwyczaj śpiewa)? Jakimś wewnętrznym „zagłuszaniem strachu"? Efektem popadania w ekstazę, w obliczu tak znanego niebezpieczeństwa? Na dobrą sprawę trzeba by być ptakiem, żeby trafnie odpowiedzieć. Zresztą — nawet i wcielenie się w ptaka mogłoby nic nie dać, bo nie tylko ptak, ale i człowiek w obliczu poważnego niebezpieczeństwa mało kontroluje swoje zachowanie, nie uświadamia sobie też do końca, co z nim się dzieje. Ale wspomniany wyżej fakt pozostaje faktem.

Godową aktywność głosową w niebezpieczeństwie przejawiają też ptaki nie należące do wróblowatych. Zauważalne jest to dobrze u gatunków, u których nie tylko samce, ale i samice odzywają się godowymi głosami. Przykładem może być jeden z najlepszych naszych skrzydlatych wirtuozów — kulik wielki. Otóż tworzące pary osobniki obok pięknych pogwizdywań, któremu gatunek ten zawdzięcza swoją nazwę, wydają też wiosną piękne, przeciągle trele, którym towarzyszą charakterystyczne loty tokowe. Otóż, jak zauważyłem obserwując ptaki tego gatunku przy gnieździe, do takiego „śpiewania" mogą pobudzić je niebezpieczeństwa. Kiedyś, gdy podczas przygotowania do filmowania tych ptaków ustawiliśmy im blisko gniazda szałas — czatownię, zareagowały, jak się w pierwszej chwili zdawało, nietypowo: oddały się intensywnym trelom godowym. Ponieważ towarzyszyło temu wyraźne ociąganie się z powrotem do gniazda, opuszczonego w obliczu niebezpieczeństwa, doszliśmy do wniosku, że jest to „śpiew z przerażenia". Dodajmy tu, że u siewkowatych głos godowy ma w takich przypadkach jeszcze jedną funkcję — jak gdyby informacyjną. Wydając go, ptak stróżujący w rewirze zawiadamia drugiego, obarczonego wysiadywaniem lęgu, że niebezpieczeństwo minęło i może on wracać do opuszczonego chwilowo gniazda. Ale tym razem tak nie było i oboje

CIĄG DALSZY NA STR. 6

Fot. **Tomasz Kłosowski**

Klangor żurawia przy gnieździe bywa oznaką najwyższego przerażenia ptaka lub pary lęgowej

Kulik wielki rzadko odzywa się swym przeciągłym trelem podczas wysiadywania w gnieździe. Godowe trele wydaje raczej w locie. Ale w niebezpieczeństwie zaczyna nieraz „śpiewać" także i przy wysiadywaniu, zwabiając tym partnera, który zaczyna mu wtórować. Czasem zlatują się na ten sygnał inne kuliki rozpoczynając wspólny koncert, będący jednak nie tyle tokowaniem, ile lamentowaniem

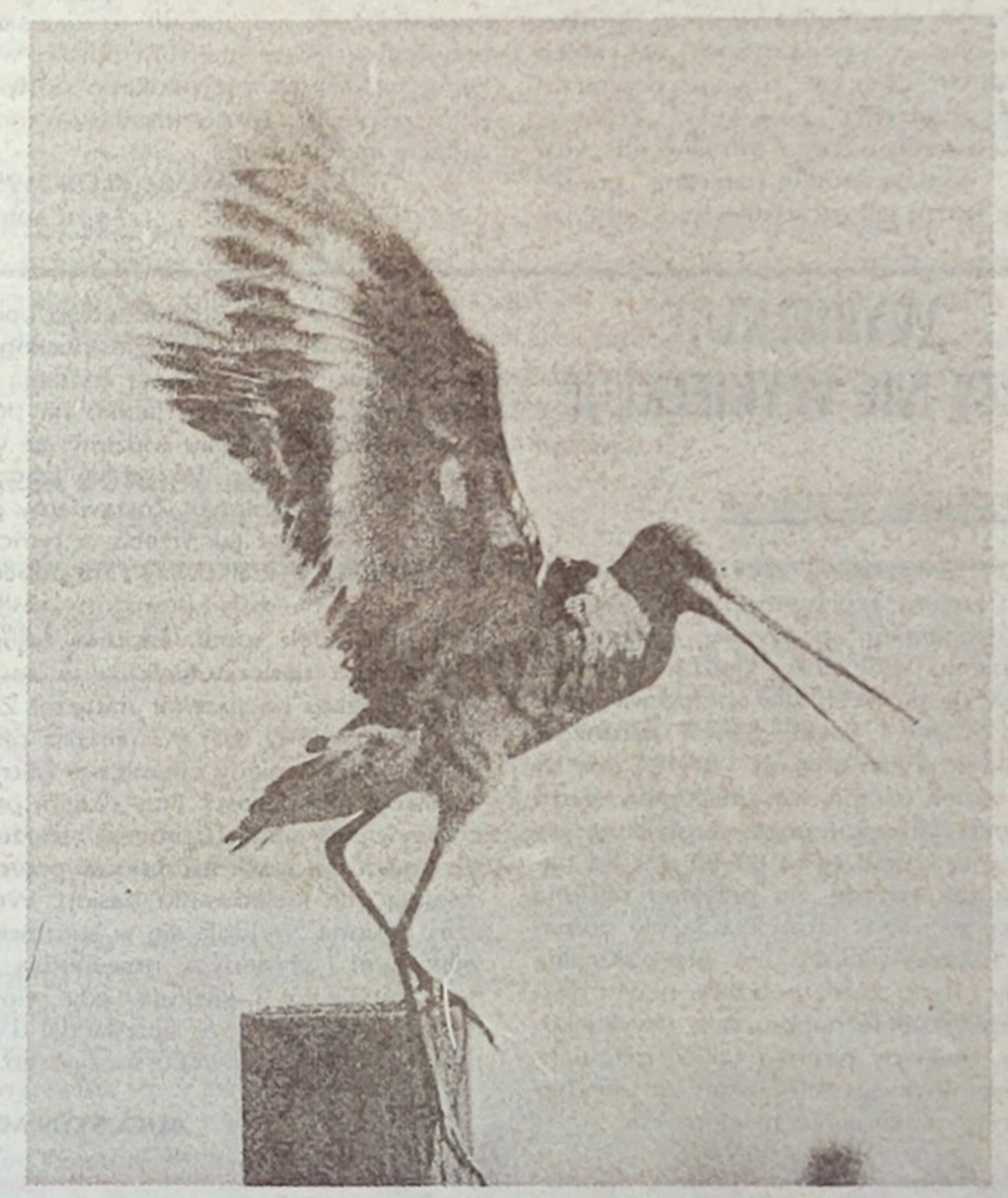

Zaniepokojony rycyk siada na wyniosłych punktach i wydaje rytmiczne jęki, stanowiące rodzaj „śpiewu" i w typowych warunkach wydawanym w locie tokowym

Zielono mi (189)

WYKIEŁKUJE CZY NIE WYKIEŁKUJE

W niezbyt odległych czasach, gdy zboże koszono kosami i po skoszeniu rozkładano na ziemi w celu wysuszenia, prawdziwą plagą rolników było porastanie kłosów. Jeśli trafiła się kilkudniowa słota, ziarno w kłosach kiełkowało wypuszczając zielone piórka i korzenie, które wrastały w ziemię. Plon w znacznej części przepadał, zaś porośnięte kłosy trudno było oderwać od ziemi.

Zupełnie inny problem mają ogrodnicy i leśnicy, którym ziarno, a ściślej nasiona kiełkować nie chcą. Po zbiorze nasion nie kiełkują wcale, a po wysianiu trzeba niekiedy czekać rok lub dwa, zanim ukażą się kiełki. Nasiona czereśni, wiśni, śliw, jabłoni, grusz, głogu, jarzębiny i wielu innych drzew o soczystych owocach mogą nie wykiełkować wcale, jeśli nie są odpowiednio traktowane.

Wydaje się, że i w jednym, i w drugim wypadku zabezpieczone są interesy natury. Każda roślina ma jakiś sposób na szybkie rozprzestrzenianie się i wypieranie sąsiadów z otoczenia. Jednym ze sposobów jest wytwarzanie wielu nasion i ich szybkie kiełkowanie po dostaniu się do ziemi. Dobrym przykładem jest mniszek lekarski, zwany popularnie dmuchawcem, który wytwarza nieprawdopodobnie dużo nasion. Każde z nich zaopatrzone jest w „spadochron" do przenoszenia przez wiatr. Gdyby nie konkurencja innych roślin mniszek opanowałby cały świat w ciągu zaledwie paru lat! Podobnie jest i ze zbożami. Tutaj obfitość plonu ziaren i ich szybkie kiełkowanie po dojrzeniu — również zapewnia ekspansję gatunku. Ziarno, które pospieszy się i wykiełkuje, zapewnia sobie przewagę nad innymi roślinami. Rozpycha się „łokciami", przytłacza inne rośliny, po to by zgromadzić zapasy i wystrzelić w źdźbło ku słońcu. Słońce to energia, to życie. To szansa na wydajną fotosyntezę i kolejny, obfity plon nasion.

Są rośliny, które nie wytwarzają bardzo wielu nasion, a mimo to zajmują coraz to nowe tereny. Mają one niekiedy dowcipne sposoby na rozsiewanie się. Roślina zwana niecierpkiem strzela nasionami na odległość kilku metrów, a rzep czepia się psiego ogona i wędruje z nim na odległość kilku kilometrów. Większość gatunków drzew dających owoce mięsiste rozsiewana jest przez ptaki. I tu jesteśmy przy tajemnicy niekiełkowania nasion.

Aby nasienie mogło wykiełkować, potrzeba odpowiedniej temperatury, wody i tlenu. Wyobrażamy sobie owoc pomidora lub jabłoni (jabłko), gdy dojrzałe wisi latem na krzaku (drzewie). Jest ciepło, jest mokro (bo owoc soczysty), jest tlen, który w wypadku jabłka swobodnie przenika przez zagłębienia kielichowe do gniazda nasiennego. Mimo tych warunków nasiona nie kiełkują. Roślina ma odpowiedni mechanizm, który zabezpiecza nasiona od wykiełkowania w soczystych owocach, gdyż pożytek dla rośliny byłby z tego mizerny. Są to hormony zawarte w nasionach lub w soku owoców, które nie dopuszczają do kiełkowania nasion. Kiełkowanie utrudnia również gruba i twarda okrywa nasienna, która łatwo rzuca się w oczy u czereśni, wiśni, tarniny, głogu i śliwki. W ten sposób pestka wiśni zjedzona przez ptaka pozostaje w jego przewodzie pokarmowym przez jakiś czas, zostaje przeniesiona kilkanaście kilometrów dalej i po wydaleniu może wykiełkować, gdzie właśnie jest wolna przestrzeń pod wiśnie.

Niezdolność kiełkowania nasion drzew owocowych po zbiorze owoców nazywamy spoczynkiem bezwzględnym. Bezwzględny to znaczy taki, że ani odpowiednia temperatura, ani woda, ani tlen nie potrafią wywołać kiełkowania. Spoczynek ten można przełamać przez zabieg zwany stratyfikacją. Wybrane z owoców nasiona miesza się z wilgotnym piaskiem i umieszcza w temperaturze około 5°C. Pod wpływem wilgoci i

CIĄG DALSZY NA STR. 6

Fot. **J. Dąbrowski**

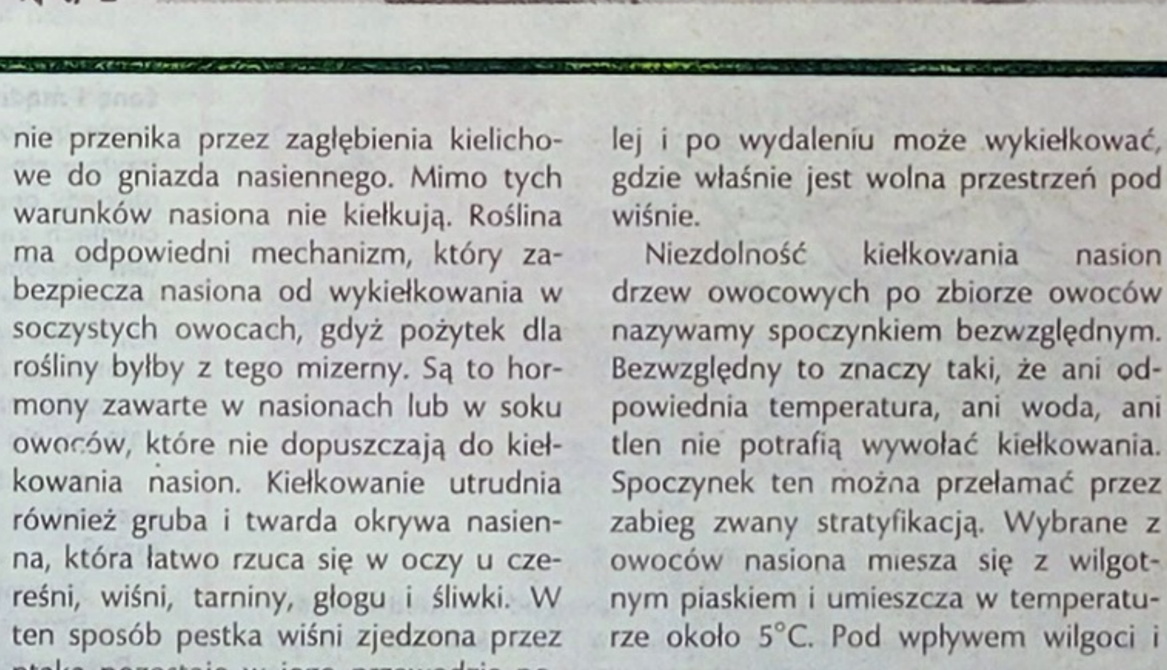

▲ *A to typowy lot godowy kulika, połączony ze „śpiewem". I on bywa objawem silnego niepokoju*

ŚPIEW CZY... LAMENT?

DOKOŃCZENIE ZE STR. 4–5

partnerzy zaczęli... lamentować godowymi głosami. Coś podobnego zauważałem u żurawi. Charakterystyczny, wspólnie wykrzykiwany klangor godowy zaczęły one wydawać wtedy, gdy zostały przepłoszone z gniazda przez stado zabłąkanego bydła. Zrazu myślałem, że tak intensywne nawoływania godowe są przejawem radości, że oto nieszczęsne bydlęta wreszcie sobie poszły. Tymczasem był to raczej rodzaj lamentu, gdyż jak się wkrótce przekonałem, ptaki swe gniazdo porzuciły... To, o czym była wyżej mowa, nie ma oznaczać, że ptaki zawsze reagują na zagrożenia śpiewem, czy innymi głosami godowymi. Nieomal wszystkie gatunki mają wszakże swoje, zwykle bardzo charakterystyczne, sygnały alarmowe i okrzyki niepokoju. U wspomnianego kulika jest to krótkie, zdławione i powtarzane w kółko „klj-klj-klj" albo też, również powtarzane do znudzenia, „kulik-kulik". Żurawie, obok ostrzegawczego mrukliwego „kru-ruu..." wydają krótkie paniczne „gra-u", które brzmi jak szczeknięcie, a jest, jak stwierdziłem, objawem najwyższego przerażenia. Para żurawi sygnalizuje też poczucie zagrożenia powtarzaniem przez dłuższą chwilę swego typowego „krur-rir"; pierwszą sylabę wykrzykuje jeden ptak, drugą jego partner. Niemniej — włączanie śpiewów i innych pieśni godowych do repertuaru „okrzyków zgrozy" i przejawów niezadowolenia jest bardzo charakterystyczne. Warto zwrócić na nie szczególną uwagę. Zwłaszcza, że głosy te, zwykle donośne i dobrze słyszalne, mogą być sygnałami i dla obserwatora, by wzmógł ostrożność i nie płoszył ptaków, skoro są mocno zaniepokojone. Na zakończenie zachęcam klubowych słuchaczy ptasich głosów, by zwrócili na przedstawione tu zjawisko uwagę. Nie sugerując się bynajmniej tym, co zostało tu napisane, przysłuchajcie się śpiewom ptasim. Może w niektórych przypadkach potwierdzicie niniejsze spostrzeżenia? A może zadacie im kłam?

TOMASZ KŁOSOWSKI
Fot. **autora**

WYKIEŁKUJE CZY NIE WYKIEŁKUJE

CIĄG DALSZY ZE STR. 4–5

niskiej temperatury zachodzą w nasionach zmiany biochemiczne, co objawia się ustąpieniem spoczynku. Nasiona po ustąpieniu spoczynku kiełkują. Nasiona drzew pestkowych śliw, brzoskwiń, czereśni, wiśni i wielu innych gatunków trzeba stratyfikować od 120–180 dni, by spoczynek ustąpił. Nasiona drzew ziarnkowych jabłoni i grusz stratyfikuje się znacznie krócej tylko 60–90 dni. Są nasiona tak twarde, na przykład nasiona głogu, że nawet stratyfikacja nie pomaga. Twarde okrywy nie przepuszczają wody i tlenu, toteż potrzeba nawet dwu lat, by nasienie napęczniało i wykiełkowało. Niekiedy nasiona takie „rozpulchnia się" kwasem siarkowym lub mechanicznie, na kamieniach ściernych.

Jak widać z tego dość długiego opisu, wszystko jest w przyrodzie doskonale zorganizowane. Lecz i tutaj zdarzają się wpadki. Kroimy nożem jabłko na pół i ku naszemu zdumieniu widzimy, że wykiełkowały nasiona. W jabłku zaczęły rosnąć... małe jabłonki! Zostawiamy pomidor, by dojrzał jak trzeba, a tymczasem nasiona wykiełkowały i na pomidorze owocu wyrosły pomidory rośliny. Taki przypadek spotkał autora zdjęcia.

Dlaczego nasiona kiełkują w soczystym miąższu na przekór naturze? Zdarza się to wtedy, gdy w miąższu zaszły daleko idące zmiany chemiczne i utracił on swoje właściwości. Przy długim przechowywaniu jabłka, procesy starzenia się powodują zanik hormonów przeciwdziałających kiełkowaniu nasion. Wówczas nasiona znajdują się w środowisku wilgotnym i chłodnym, przechodzą okres stratyfikacji i kiełkują, gdy wiosna blisko. Podobnie może się zdarzyć u pomidora i u innego owocu soczystego.

AUGUSTYN MIKA

SZKOŁA GÓRNICZA KOPALNI „SZCZYGŁOWICE" czeka na Ciebie!

Przeczytaj — zastanów się

Zasadnicza Szkoła Górnicza Kopalni Węgla Kamiennego „Szczygłowice", która znajduje się w Zabrzu-Mikulczycach, przyjmuje kandydatów do zawodu górniczego w następujących specjalnościach:

— górnik kopalni węgla kamiennego,
— mechanik maszyn i urządzeń górnictwa podziemnego,
— elektromonter górnictwa podziemnego,
— mechanik maszyn i urządzeń przeróbczych.

Szkoła gwarantuje możliwość wszechstronnego kształcenia zawodowego w bogato wyposażonych gabinetach i pracowniach oraz nowocześnie urządzonych warsztatach szkolnych. Dysponuje bogatą biblioteką, świetlicą, salą gimnastyczną i boiskami, a także aparaturą wideo i odbiornikami telewizyjnymi w każdej klasie.

W szkole tej można zdobyć nie tylko interesujący zawód, ale także rozwinąć indywidualne zainteresowania w kilkunastu zespołach zajęć pozalekcyjnych. Prężnie działa m.in. koło miłośników żywego słowa, zespół redakcyjny, klub hobbistów, dyskusyjny klub filmowy, koło fotografików i kinooperatorów, zespół muzyczny i teatr poezji oraz klub komputerowy.

Ponieważ w szkole tej dużą wagę przywiązuje się do zajęć sportowych i turystycznych, jest więc ona wymarzoną szkołą dla młodych lekkoatletów, piłkarzy, narciarzy i żeglarzy. Sport uprawiać można nie tylko w Szkolnym Klubie Sportowym, ale także w renomowanych, znanych w całym kraju klubach jak np. Górnik Zabrze.

ZGŁOŚ SIĘ DO NAS!

— jeżeli masz dobre zdrowie i szybki refleks,
— jeżeli cechuje Cię odwaga i odporność na trudy oraz poczucie odpowiedzialności,
— jeżeli jesteś spostrzegawczy i zaradny, sumienny i systematyczny,
— jeżeli potrafisz szybko się koncentrować, wyciągać wnioski, trafne decyzje, to

NIE ZWLEKAJ I ZGŁOŚ SIĘ DO NAS!

Zapamiętaj nasz adres:
Zasadnicza Szkoła Górnicza
Kopalni Węgla Kamiennego „Szczygłowice"
ul. Zwrotnicza 13
41-807 Zabrze

Z centrum Zabrza można do nas dojechać tramwajem nr 3.

O TYM WARTO WIEDZIEĆ

Żeby zostać uczniem naszej szkoły należy:
— ukończyć szkołę podstawową,
— mieć nie więcej niż 17 lat,
— posiadać zaświadczenie lekarza górniczej służby zdrowia o przydatności do zawodu górniczego, do którego skierowanie wydaje dyrekcja szkoły,
— złożyć podanie o przyjęcie podpisane przez kandydata, jego rodziców lub opiekunów, życiorys oraz ostatnie świadectwo szkolne.

Kopalnia „Szczygłowice" zapewnia wszystkim swoim uczniom:

1. Pomoc materialną
   a) klasy specjalistyczne
   do 8000 zł w klasie I dla uczniów miejscowych,
   do 3200 zł w klasie I jeżeli uczniowie korzystają z wyżywienia w internacie,
   do 10 000 zł w klasie II dla uczniów miejscowych,
   do 4000 zł w klasie II jeżeli uczniowie korzystają z żywienia w internacie,
   do 11 000 zł w klasie III dla uczniów odbywających zajęcia praktyczne na powierzchni,
   do 12 500 zł w klasie III dla uczniów odbywających zajęcia pod ziemią,
   do 5000 zł w klasie III gdy uczniowie odbywają zajęcia praktyczne na powierzchni, a korzystają z wyżywienia w internacie,
   do 6200 zł w klasie III gdy uczniowie odbywają zajęcia praktyczne pod ziemią, a korzystają z wyżywienia w internacie
   b) górnik kopalni węgla kamiennego
   do 13 000 zł w klasie I dla uczniów miejscowych,
   do 5200 zł w klasie I jeżeli uczniowie korzystają z wyżywienia w internacie,
   do 13 900 zł w klasie II dla uczniów miejscowych,
   do 6100 zł w klasie II jeżeli uczniowie korzystają z wyżywienia w internacie,
   do 19 000 zł w klasie III dla uczniów miejscowych,
   do 8800 zł w klasie III jeżeli uczniowie korzystają z wyżywienia w internacie.
2. Premię do 50% stawki pomocy materialnej dla uczniów uzyskujących dobre wyniki w nauce.
3. Zakwaterowanie i pełne utrzymanie w internacie.
4. Zaopatrzenie uczniów bezpłatnie w podręczniki, przybory szkolne i umundurowanie.
5. Absolwentom, którzy po ukończeniu szkoły podejmą pracę, przysługuje pożyczka w wysokości 150 tysięcy złotych umarzana po 3 latach nienagannej pracy.

UWAGA! Najzdolniejsi absolwenci kształcić się mogą dalej w trzyletnim Technikum Górniczym.

OK/42

— Panie doktorze, my się znamy z Piotrem od lat. Kiedyś wędrowaliśmy przez parę miesięcy razem w poszukiwaniu cennych kruszców. Teraz on się ożenił i stał się wzorowym rolnikiem. Ja nadal szukam szczęścia.

W tym miejscu należy wyjaśnić, że Piotr Carr parał się przez wiele lata eksplorerstwem, to znaczy: poszukiwaniem żył złota lub srebra, lecz nie gardził również rudami miedzi lub żelaza. Nie mogąc ich wykorzystać sam, informację o takich złożach sprzedawał przedsiębiorstwom górniczym. Los zrządził, że Karol i ja, już po szpitalnej kuracji Piotra, spotkaliśmy się z nim kilkakrotnie podczas swych wypraw i często we wręcz dramatycznych okolicznościach. Ale to już należało do przeszłości. Wprawdzie jeszcze przed trzema laty, w roku 1891, Piotr brał udział w naszej wyprawie na północ Kanady, do Wielkiego Jeziora Niedźwiedziego*, ale od tego czasu go nie widziałem.

— A więc jest pan również eksplorerem — stwierdziłem. — I nie tak dawno powrócił pan z dalekiej wyprawy. Widać to po pana opaleniźnie.

— Prawda, ale i pan doktorze, pewnie zwiedzał dalekie strony. Razem z panem Gordonem, jak zwykle.

— Skąd pan o tym wie?

— Carr opowiadał mi, że panowie co roku urządzają wspólne wyprawy, że pan Gordon w zimie para się traperką, a pana, doktorze, interesują lasy, prerie i góry naszego kraju. Czy nie mówił prawdy?

— Mówił prawdę. A cóż u niego słychać?

— Ano cóż? Gospodarzy na farmie. Ma dwoje dzieci, energiczną żonę i mądrego teścia. Teraz planuje sprowadzić z Teksasu długonogie bydło. Bawiłem u niego przez tydzień, więc dobrze przypatrzyłem się wszystkiemu. Z Piotra zrobił się znakomity rolnik, lecz niekiedy opada go tęsknota za dawnymi laty i traci humor. W takich chwilach zaciągał mnie na trawiasty wzgórek, daleko od domu i tam wspominał dawne przygody, lecz przede wszystkim panów. Mówił, że w Arizonie rozgromił wraz z wami jakąś rozbójniczą bandę, a nad Wielkim Jeziorem Niedźwiedzim szukał starych skarbów. Opowiadał również, jak spotkał panów w Oklahomie, gdzie wiercono szyby naftowe i gdzie nąstąpił wybuch oraz pożar ropy. Och, usta mu się nie zamykały i zaraz odzyskiwał dobry humor.

— Wszystko to prawda. Z Piotra nie byle jaki gaduła, ale lubi przesadzać w swych opowieściach. Lecz co pana sprowadza do mnie?

— Wysypka, swędząca wysypka na piersiach i ramionach.
— Proszę zdjąć koszulę, zobaczymy.

Była to istotnie swędząca wysypka, jakiś liszaj, którego przyczyną był najprawdopodobniej brud.

— Często się pan myje?
— Codziennie, doktorze. Niekiedy nawet kilka razy na dzień. Czy to ma jakiś związek z tym swędzeniem?
— Oczywiście.
— No to muszę przyznać, że podczas moich wędrówek poszukiwawczych często nie myję się tygodniami. Teraz, w Nevadzie, rzadko to czyniłem, bo chociaż płynie tam rzeka, jej wody raczej przypominają błoto. Czy ta swędzonka to coś poważnego?
— Głupstwo — stwierdziłem. — Proszę codziennie smarować się tą maścią i po dwu tygodniach znowu mnie odwiedzić — zacząłem wypisywać receptę.

Podziękował, ubrał się i na tym zapewne skończyłaby się nasza znajomość, gdyby nieodgadniony los nie skłonił mnie do zapytania:

— Gdzie pan nabawił się tego paskudztwa?
— Nad rzeką Humboldta.
— Humboldta, Humboldta... — powtórzyłem, na próżno starając się przypomnieć sobie, przez jakie tereny przepływa.
— To w Nevadzie.
— Szukał pan tam złota?
— I znalazłem.
— Gratuluję.
— Carr opowiadał mi, że i pan Gordon parał się eksplorerstwem, podobno w Czarnych Górach, w Południowej Dakocie.
— Owszem. Zdarzyło się to przed laty.

— Ach, jaka szkoda, że nie mogę z nim porozmawiać na ten temat.

— Uśmiechnąłem się:
— Ależ może pan.

Wytrzeszczył na mnie oczy.
— Jak to? — zapytał.
— Proszę chwilę zaczekać.

Wstałem zza biurka, przeszedłem do jadalnego pokoju, gdzie Karol bezwstydnie wylegiwał się w fotelu. Powiedziałem, jakiego to pacjenta mam u siebie i wróciliśmy już we dwójkę.

— Och! — krzyknął przybysz. — Zgaduję, że to pan Gordon. Pozwólcie, panowie, że się przedstawię: jestem Jonas Nevil.

Prawie jednocześnie usłyszałem dźwięk dzwonka, a po chwili uchyliły się drzwi mego gabinetu.

— Pacjent — oznajmiła przenikliwym szeptem Katarzyna.

Nevil poderwał się z fotela.

— Bardzo przepraszam, doktorze. Zbyt długo już tu siedzę.
— Ależ nic podobnego. Karolu, pogadajcie sobie w jadalni.

Wyszli, a ich miejsce zajął zapowiedziany przez Katarzynę pacjent. Po nim zjawił się jeszcze jeden. Gdy go zbadałem, było już dobrze po pierwszej.

W jadalni dwaj moi goście pogrążeni byli w rozmowie, a Katarzyna ustawiała talerze na nakrytym obrusem stole. W takiej sytuacji nie pozostawało mi nic innego, jak tylko zaprosić Nevila na lunch. Wzbraniał się, ale jakoś niezbyt energicznie, więc gdy Karol mnie poparł, ustąpił.

Ponieważ nie wiedziałem, o czym mój przyjaciel rozmawiał z Nevilem, zapytałem:

— Co pana skłoniło do obrania sobie tak ryzykownego zawodu?
— Przypadek, doktorze. Prosty przypadek. Pochodzę z rolniczej rodziny. Do dziś gospodarują na farmie moi rodzice i brat. Co roku spędzam u nich zimę.
— Daleko stąd?
— Bardzo blisko. Między Milwaukee a Racine, nad jeziorem Michigan. Nie dalej jak pięć mil stąd i dzięki temu mogę tu przyjeżdżać, ile razy zechcę. Oczywiście tylko zimą, bo w lecie wędruję daleko.
— Na przykład po Nevadzie — wtrącił Karol.
— Na przykład po Nevadzie — powtórzył.

Cdn.

* Opis tej wyprawy znajduje się w powieści pt. „Skarby Mackenzie"

▲ *W imieniu młodzieży szkoły nr 10 miasta Lwowa uczennica kl. VIII Dorota Werlyporoch dziękuje Mirosławowi Hermaszewskiemu za spotkanie. Obok konsul Włodzimierz Woskowski*

◀ *Mirosław Hermaszewski „przy tablicy"*

Korespondencja ze Lwowa

POMÓGŁ ZROZUMIEĆ NICOŚĆ I WIELKOŚĆ CZŁOWIEKA

Podbój kosmosu trwa. Pokojowy i militarny. W naszym wieku kosmicznym nie zadziwiają już dziś wiadomości o nowych osiągnięciach w dziedzinie kosmonautyki, wydaje się wszystko zrozumiałe, proste. A jednak zdarzają się takie chwile, gdy człowiek zaczyna rozumieć, na ile te sprawy są dla nas w dalszym ciągu fantastyką. Jesteśmy dziećmi Ziemi, nic w tym dziwnego.

Niedawno mieliśmy okazję przekonać się o tym na własnej skórze. Szkołę nr 10 we Lwowie obleciała wiadomość jak błyskawica — odwiedzi nas lotnik kosmonauta PRL Mirosław Hermaszewski.

Z pewnością każdy inaczej wyobrażał sobie tego człowieka, mimo że widział niejednokrotnie jego zdjęcia na szpaltach gazet, tygodników, książek. Najmłodsi wiedzieli o nim niewiele.

Przyszedł. Wysoki, jasnowłosy mężczyzna o sportowej sylwetce i ujmującej osobowości. Momentalnie nawiązał kontakt z uczniami. Nieprawdopodobnie lekko, prawdziwie mówił o swych marzeniach, wątpliwościach, o przyjaźni, a także tytanicznej pracy poprzedzającej pobyt w kosmosie, rysował na tablicy statki kosmiczne, tłumaczył... Wszystko wydawało się proste, osiągalne, aby tylko trochę wysiłku, wytrzymałości, silnej woli, zdrowia...

Dziś być może niejeden z 15-latków dzięki temu spotkaniu zainteresuje się fizyką jądrową, pójdzie do biblioteki, aby przeczytać więcej o M. Hermaszewskim, któremu co prawda nie zdołał zadać wszystkich pytań, ale mógł go zobaczyć, poprosić o autograf. W wyobraźni będzie widział siebie w kosmosie oglądającego naszą planetę widoczną jak na dłoni, przeżywającego rok kalendarzowy w ciągu kilkudziesięciu minut...

Polski lotnik kosmonauta, generał Mirosław Hermaszewski pochodzi z Równeńszczyzny. To tak niedaleko od Lwowa. Kieruje szkołą lotniczą im. Janka Krasickiego w Dęblinie. A jeden z zastępów naszej szkoły też nosi imię Janka Krasickiego — patrioty, żołnierza działającego w latach wojny na terenie Lwowa.

Przecinające się orbity, paralele łączące w jedną całość... Przynależność narodowa, wspólnota z Krajem, poza granicami którego mieszkamy...

Od około dwóch lat przybliża nam nasz kraj ojczysty konsul, Włodzimierz Woskowski. To dzięki niemu w szkole odbywają się piękne, wzruszające spotkania z przedstawicielami kultury, sztuki, techniki polskiej. Niestrudzony ambasador kultury polskiej we Lwowie postarał się o spotkanie z M. Hermaszewskim, który mając do dyspozycji tylko jeden dzień, znalazł czas, aby spotkać się z młodzieżą polską. Oby takich spotkań było jak najwięcej. Są nam bardzo potrzebne.

TERESA DUTKIEWICZ
Fot. **autorki**

BIESZCZADZKI KLIMAT...

CIĄG DALSZY ZE STR. 4–5

nie, na dole rozrzucona padlina, czekamy na zwierzynę. Ale tą przynętą zainteresowała się dwójka niedźwiedzi. Zjadła mięso i mało tego, przez kilka godzin krążyła wokół naszego stanowiska. Rzecz jasna nie ryzykowaliśmy zejścia na ziemię.

Małym dzieciom lubimy opowiadać bajki o niedźwiedziach i wilkach, które pożerają ludzi. Dzisiejsze zwierzęta krzywdy człowiekowi nie zrobią, gdyż bardziej się go boją, niż to sobie wyobrażamy. Udało się w Bieszczadach wyhodować kilkadziesiąt żubrów. Te dzikie zwierzęta udomowiły się prawie na tyle, że zimą podchodziły do ludzkich zabudowań i niemalże z ręki brały jedzenie. Odkąd zaczęły się na nie polowania, żubry zmieniły się nie do poznania: nie korzystają z wystawianych karmników, jak mogą, unikają człowieka. Jakby rozumiały, że z jego strony pada niekiedy śmiertelny strzał. A polowań jest znikoma liczba. Nadmierny rozwój żubrów zakłóciłby równowagę w bieszczadzkiej przyrodzie. Stąd konieczność odstrzału. Musimy utrzymać niezmienną liczbę około 150 sztuk.

W pogodni za jeleniem

Nim stopnieją zimowe śniegi, a leżą one nieraz i do pierwszych dni maja, bieszczadzkie lasy zapełniają się dziwnymi ludźmi. Chodzą między drzewami, szperają, czegoś wypatrują. To poszukiwacze jelenich poroży. Już od połowy marca jelenie zrzucają rogi. A róg im większy, tym cenniejszy. Poroże dorosłego jelenia waży kilkanaście kilogramów.

— Ale ostrzegam amatorów łatwej zdobyczy — śmieje się pan Kazimierz. — Można schodzić cały tydzień po bieszczadzkich bezdrożach i nic ciekawego nie znaleźć. A że się przy tym nałykamy czystego, świeżego powietrza, i oczyścimy zanieczyszczone miejskim pyłem płuca, to już zupełnie inna sprawa.

KRZYSZTOF KILIJANEK

APN specjalnie dla „Świata Młodych"

MŁODZIEŻ NA BAJKONURZE

Uczniom, którzy nie tylko dyskutują o pozaziemskich cywilizacjach, ale przedstawiają konkretne propozycje innowacji w dziedzinie budowy statków kosmicznych i w miarę swoich młodzieńczych możliwości opracowują realne eskperymenty kosmiczne — dano możliwość zwiedzenia kosmodromu Bajkonur.

Dzień pierwszy

Kompleks startowy „Sojuz". To z niego startował pierwowzór statku kosmicznego Gagarina „Wostok". Młodzi „kosmonauci" ze znawstwem oglądają wszystkie urządzenia i z ogromną ciekawością spoglądają w gigantyczną czeluść, która podczas startu rakiety „połyka" silny ogon ognia osmalający twardy beton.

— A na górę personel obsługujący wjeżdża windą — wyjaśnia oprowadzający gości jeden z głównych specjalistów kosmodromu Aleksy Szumilin. — Nie każdy potrafi opanować strach przed ogromną wysokością.

I jeśli ktoś pomyśli, iż słowa te ostudziły nieco zapał chłopców, to jest w błędzie, bowiem wszyscy zgodnym chórem zakrzyknęli: „Jesteśmy gotowi" i... pobiegli do windy. A. Szumilinowi nie pozostało więc nic innego, jak tylko podążyć za nimi. Sierioża Perczik i Jasza Koch, uczniowie z Omska szybko zatrzasnęli za sobą drzwi windy. Potem opowiadali, że przez moment poczuli strach, ale tylko „ciut, ciut".

Winda zatrzymała się na wysokości, z której widać było ogromną pustą przestrzeń. Ale z ziemi chłopcy wyglądali jak bohaterowie, bo któż jeszcze z uczniów szkół radzieckich mógłby się pochwalić, iż kołysał się w „kosmicznej" windzie?

Po świszczącym w uszach wietrze spokój i ciepło, jakie zastali w kadłubie montażowo-badawczym, wydawały się wprost bajeczne. Tutaj właśnie odbywają się ostatnie kontrole „kosmicznych ciężarówek" — Progress i „kosmicznych lekkich pojazdów" — Sojuz. W sąsiadujących z halami pokojach ubiera się kosmonautów w skafandry. Chłopcom pokazano ostatni „model" skafandrów, w których będzie pracować następna ekipa kosmiczna.

— A co tam jest napisane? — ze zdziwieniem zapytał Maksim Sztangiejew z Kaługi. — Niby po rosyjsku, a jednak słowa jakby obcojęzyczne „ołpeit" i „dołoch".

— Skafander dla kosmonauty to jak gdyby „mieszkanie" — wyjaśnia A. Szumilin. — Poruszyć w nim głową jednak nie można. Dlatego na rękawie każdego skafandra jest lusterko. Kosmonauta popatrzy w nie i widzi, jak może wyregulować temperaturę wewnątrz „mieszkania" obracając odpowiednią dźwignię w stronę słowa „ciepło" lub „zimno". I tu są właśnie napisane słowa „ołpeit" (ciepło) i „dołoch" (chołod). Napisane od końca, aby w lusterku można je było odczytać prawidłowo.

Chłopcy zwiedzają dalej. Zaglądają do dwóch niedużych domków. W jednym z nich ostatnią noc przed startem spędzili Gagarin i Titow. W drugim zaś przebywał Siergiej Korolow.

— Czy my, młodzi, możemy w czymś pomóc kosmonautyce? Proszę przedstawić nam konkretne zadania — proszą chłopcy.

— Jest wiele zadań, które musimy rozwiązać — mówi A. Szumilin. — Jedno z najważniejszych — to ekologia kosmosu. Jak wam z pewnością wiadomo, na orbicie pozostają niektóre części rakiet, czy sputniki, które zakończyły swoją pracę. Z pewnością nie wpływa to korzystnie na naszą biosferę. Jak można to zmienić? I jeszcze jeden palący problem — bezpieczeństwo lotów i bezpieczeństwo lądowania. O tym wszystkim myślą uczeni i konstruktorzy. Może wam uda się znaleźć jakiś „złoty środek". Pomyślcie.

Dzień drugi

Długa wędrówka po schodach. Wreszcie drzwi do sali i silne światło, powodujące mrużenie oczu. I nagle... wszystkim chłopcom zaparło dech w piersiach. Na środku sali — zastygły, wielki ptak. To znany „Buran". Jeden z konstruktorów oprowadzających młodych gości po Bajkonurze szepnął: „Później wam wszystko opowiem. Teraz nacieszcie oczy widokiem naszego „ptaszka". A potem dodał: „20 lat pracuję na kosmodromie i nigdy nie przypuszczałem, że mogę tu zobaczyć dzieci".

Wszyscy na kosmodromie żyją wspomnieniami ostatniego wielkiego wydarzenia związanego właśnie z „Buranem". Do dzisiaj wspomina się chwile oczekiwania na nawiązanie łączności, na lądowanie, podczas którego „ptaszysko" wychyliło się o 80 cm od centralnej linii. Konstruktor wyjaśnił też chłopcom, jak udało się sfinalizować ten bezprecedensowy rejs. Teraz „Buran" stoi nieruchomy, a wokół niego krzątają się ludzie w sterylnych uniformach. Żeby móc pracować wewnątrz tego „ptaka" specjaliści muszą przejść przez badania komisji lekarskiej, bowiem ani jeden mikrob nie może przedostać się do kabin, gdzie zasiądą piloci-kosmonauci.

Kolejny etap zwiedzania to kompleks startowy „Energia", z którego startowała w swój pierwszy rejs dotychczas największa rakieta „Proton". W swoim czasie z tego miejsca przez kilka dni rakieta wyprowadzała na orbitę od razu po trzy sputniki z serii „Kosmos".

Dzień trzeci i...

...niestety już ostatni. Chłopcy dowiadują się, iż już na 10–12 dni przed planowanym startem kosmonauci przyjeżdżają na Bajkonur, aby zająć się ostatnimi przygotowaniami technicznymi. Młodzi goście z zainteresowaniem zaglądają do każdego pomieszczenia, w których przed startem mieszkają kosmonauci, robią sobie pamiątkowe zdjęcia — na każdym autograf kosmonauty, który przebywał w danym pomieszczeniu.

Na zakończenie zaproszono chłopców do sali, w której zawsze przed kolejnym startem odbywają się rozmowy dziennikarzy z kosmonautami i ich dublerami. Zebrani opowiadają swoje przeżycia i wrażenia po zakończonej wizycie. Pietia Skripnik przyznaje: „Nigdy nawet nie marzyłem, żeby to wszystko zobaczyć na własne oczy. Było wspaniale! Chciałbym jeszcze kiedyś tu przyjechać".

Wyprawa, która dostarczyła młodym ludziom tak wielu wrażeń i poszerzyła ich „kosmiczną" wiedzę, została zorganizowana przez Wszechzwiązkowy Aerokosmiczny Związek Młodzieży i Stowarzyszenie Badaczy Kosmosu.

Roza Siergazijewa

ŚWIAT MŁODYCH

ADRES REDAKCJI: ul. Mokotowska 24, 00-561 Warszawa. Telex 81-36-58.
ADRES ODDZIAŁU: ul. Rynek 13, 40-003 Katowice (tel. 53-94-57, telex 0315569).

REDAGUJE KOLEGIUM: **Redaktor naczelny** Stanisław Borowiecki tel. 21-15-61, z-cy red. nacz. Ewa Drobnik i Wanda Kobyłecka tel. 29-21-42, **Sekretarz redakcji** Michał Malicki, z-ca sekr. red. Lidia Wojciewska tel. 28-25-48, **Kierownicy działów:** Jerzy Dąbrowski (dz. nauki i techniki tel. 21-98-28), Ewa Kosińska (dz. szkolno-harcerski tel. 21-47-06), Teresa Maciszewska (dz. kulturalno-literacki tel. 28-77-21), Jan Orgelbrand (dz. krajowy tel. 28-56-18), Zdzisław Przybyłowski (dz. sportowy tel. 21-98-28), Barbara Skórska (dz. listów i łączności z czytelnikami tel. 21-81-13), Wojciech Wróblewski (dz. fotoreportażu tel. 21-98-28). **Graficy:** Marlena Hanke, Szarlota Pawel i Magdalena Piotrowska. **Redaktorzy techniczni:** Wiesława Chmielewska, Grażyna Pajorkowska i Barbara Zając. **Kierownik korekty:** Barbara Boguszewska; korektorki: Maria Marasek i Irena Ochrymowicz.
Nie zamówionych materiałów redakcja nie zwraca. Ogłoszenia przyjmuje Redakcja Wydawnictw Poradniczych i Reklamy, al. Stanów Zjednoczonych 53, 04-028 Warszawa, tel. 13-20-40 do 49, wewn. 403. Cena ogłoszeń: 450 zł za 1 cm², 200 zł za jedno słowo w ogłoszeniach drobnych. Wpłaty za ogłoszenia od osób fizycznych przyjmowane są na konto: NBP XV OM Warszawa nr 1153-201478-139-11. Za treść ogłoszeń redakcja nie odpowiada.
WYDAWCA: RSW „Prasa-Książka-Ruch", Młodzieżowa Agencja Wydawnicza, 04-028 Warszawa, al. Stanów Zjednoczonych 53. Telefony: Dyrektor 10-41-22, Dział Produkcji Prasowej 10-66-21.
Informacji o warunkach i terminach prenumeraty udzielają wszystkie oddziały RSW „Prasa-Książka-Ruch" oraz urzędy pocztowe.
SKŁAD: Zakłady Graficzne „Dom Słowa Polskiego" — Warszawa
Zam. 975/G/89. A-30
DRUK: Prasowe Zakłady Graficzne RSW „Prasa-Książka-Ruch" w Łodzi
Zam. 310/89

UKAZUJE SIĘ OD 1949 r.
Nr 33(4583)
Wychodzi:
wtorki, czwartki i soboty
Nr indeksu 35046
PL ISSN 0137-93214

SZUKAJMY CIOTKI PLOP!

Tekst i rysunki
SZARLOTA PAWEL

1

RZEPKLUB

Żarty wyszperali: **Justyna Paszkot** — członkini klubu, **Rafał Bogusz** i **Adam Cybulak**, których zapisuję.

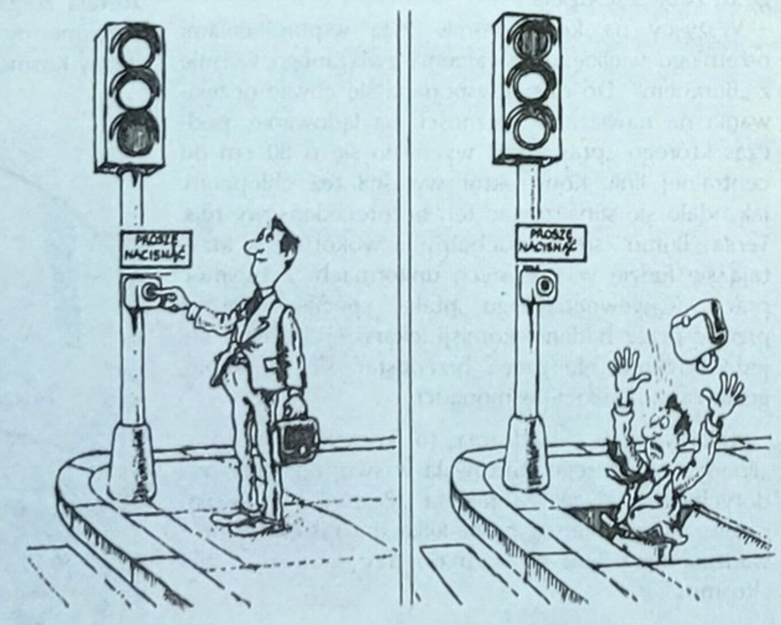

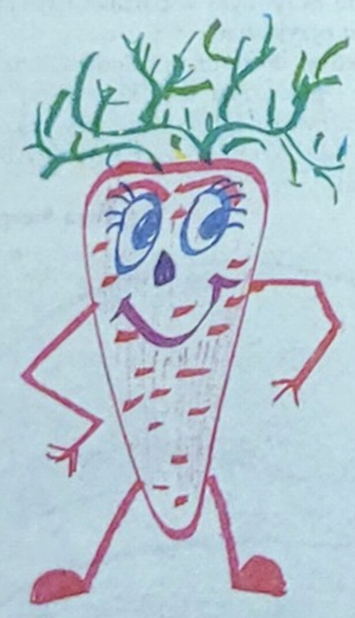

Monika Kaczyńska, którą zapisuję do Rzepklubu, narysowała mnie jako Rzepę, a ja jestem Rzep (od psiego ogona!).

Redaguje
WŁODZIMIERZ LEWIŃSKI

Cześć!

Jest mi właśnie wiosennie i leniwie... à propos — „leniwie", dlaczego na niwie działa się, a nie leży leniwie w słońcu jedząc leniwe pierogi z maselkiem i tartą bułeczką?... O! Albo z jagodami własnoręcznie zbieranymi w lesie. Las szumi... Hej, co tak szumi?! To w rurze centralnego. Pewnie koniec ogrzewania i właśnie wypuszczają wodę na wolność. A woda na wolności kumka od żab. Kaczki i kaczeńce... Czy zamoczyłeś się zbierając kaczeńce? Spróbuj, to bardzo przyjemnie! Przyjemnie jest też leżeć leniwie na niwie i wypatrywać uszami skowronka. Czemu uszami? A czym? Zawsze przepada gdzieś w niebie. Tak, jak ja. W siódmym. Za siódmą rzeką, za siódmym lasem, za siódmą górą...

Do zobaczenia!
Wasz **Rzep**

PS. Chętnie poczytałbym sobie Wasze listy pisane w wiosennym nastroju. Piszcie!

NOWE PAPIEROSY!

Opakowanie zaprojektowała **Joanna Kania**, którą zapisuję do Rzepklubu. Konkurs trwa! Malujcie farbami, tuszem, mazakami, byle nie kredkami!

— *On służył w artylerii...*